Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 12. Poznań dnia 17. Czerwca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Teraźniejsza angielska literatura.

Podług Filareta Chasles.

I. Poeci epiczni i liryczni.

Już Walter Scott i Byron ustąpili z widowni świata. Inne się teraz podnoszą głosy, objawiające rozliczne dążenia angielskiego życia i wzburzonych namiętności walkę; chcąc więc obecny stan umysłowego usposobienia ludu poznać, tych posłuchać należy.

Mylą się podobno ci, którzy sądzą, że angielskiego życia polityczna budowa, w swych posadach wstrząśnięta, rychłą grozi ruiną: jeszcze lud dotąd ślepo przywiązany do swych historycznych wspomnień, przed arystokratycznym bałwanem korne zgina kolano. Szczyt budowy zajmuje dotąd owa przez feudalność wzniesiona świetna kopuła, a starożytny gotycki budynek ze swemi bijącemi w oczy herbami i próżnością, żwawo się wściekłym burzom opiera. Tymczasem jednak postępowy bieg angielskiego życia inny wziął kierunek, kierunek kosmopolityczny europejskiego kontynentalnego ruchu. Anglia skruszywszy wszelkie zawady, z lądem stałym, jak gdyby mostem połączona, przyjętą została na łono familii europejskich narodów, otrząsając się coraz bardziéj z przesądów, z dawniejszego jéj odosobnienia wynikłych. Wpływ francuzki i niemiecki silnie działać zaczyna. Niknie ów dziwaczny humor, rażąca chropowatość, zacięta nienawiść Francuzów; nawet ostre zęby karykatury stępione, nie kąsają jak dawniéj tak do żywego; mrukliwe londyńskie pospolstwo, uczyniwszy znaczny krok w oświacie, uśmiechać się zaczyna. G. Sand i Wiktor Hugo otworzyli sobie wrota do Anglii, francuzkie romanse chciwych znajdują czytelników i tłómaczy, a jeden angielski Review żyje tylko z łupiestwa samych francuzkich czasopismów. Mdlejąca poezya, wycieńczone drama, pożyczona filozofia, orzeźwiają się i wzmacniają zagranicznemi płodami. Coraz bardziéj ściera się w nich ów wyraźny angielski charakter, cechujący tak mocno dawniejsze epoki. Duma angielska nie chce się zniżyć do takiego zeznania, ale prawda zaprzeczyć go nie może.

Od roku 1790 aż do 1820 rozwinęła się cała energia angielskiego życia, gnana naprzemian obawą i zwycięztwem, wzburzonemi namiętnościami i nadzieją, wisząc między otwartą paszczą zniszczenia, a najwyższym blaskiem narodowéj sławy, drogo nadludzkiem poświęceniem okupionéj. Z téj olbrzymiéj walki wyszli wielcy poeci, historycy, mówcy; a jakie zajmujące, wyraźne fizyonomie! Jędrny i ponury Crabbe, głęboki Coleridge i Wordsworth, delikatny i bystry Lamb; arabeski Hazlitta, epiczna i historyczna płodność Southeya, ścisła i dowcipna krytyka Gifforda i Jeffreya, historyczna przenikliwość Mackintosha, narodowa silna wymowa Cobetta, grobowe pomysły Maturina, połyskujący blask Moora. Licznéj téj rzeszy gieniuszów przewodniczą dwa olbrzymy, których panowanie na całéj kuli ziemskiéj się rozciąga: Walter Scott i Byron. Pierwszy ulubieniec minionych czasów, w przeszłości tylko żyjący; drugi przykuty do obecności, któréj nienawidzi; byli posłańcami ducha czasu, co przez nich we wszystkich równie usposobionych sercach sympatyczne obudził tony.

To literackie pokolenie było odblaskiem angielskiego życia z jego stronnictwami i zwaśnieniami. Szkoła Szkocka wystąpiła jako krytyczna mistrzyni, irlandzka z dumą spoglądała na swego Moora i mówców, Purytanie i Dissenterowie mieli reprezentanta w wymownym improwizatorze Irwingu. Była nadto szczególna literatura koncentrująca się w murach stolicy, któréj poważne i zgrzybiałe cienie snują się dotąd po salonach londyńskich. Wordsworth utworzył oddzielną sektę, psychiczną analizą napiętnowaną, chwiejącą się między dowcipem a śmiesznością. Polityczna wiara jeszcze większe rozdwojenie, rzekłbym rozpierzchnienie zrządzała. Tym sposobem powstały liczne oddzielne grupy, wyrażające rozmaite idee, teorye, zasady.

Piękna ta i silna generacya nikła z wolna, gwiazda po gwiaździe schodząc z firmamentu. Pozostał się jeszcze

tylko poetyczny historyk Southey, Moore, śpiewak Irlandyi i Wschodu, Campbell, autor Gertrudy Wyominy. Tymczasem walka Anglii z Napoleonem dokonaną. Europa otworzyła swe łono dla Brytannii. Węzeł spajający dotąd arystokracyą z demokracyą rozpadł się po zawarciu pokoju. Upojone dumą możnowładztwo, sądzące, że nad Napoleonem, Europą i demokracyą tryumf odniosło, wkrótce z tego zaślepienia wywiedzione zostało. Dążność bowiem do reform i poprawy politycznego stanu przytłumiona na czas niejaki, tym silniejszym w czasie pokoju wybuchła płomieniem. Pamiętano o tem dobrze, że Burke dopominał się emancypacyi katolików, a Chatam reformy parlamentowéj; potok więc na chwilę wstrzymany, spienione napiętrzył wały.

Obok potęg władnących dawniejszą społecznością, powstała nowa, dźwigająca nauki przyrodzone i bogactwo krajowe, a którą w braku innego nazwiska przemysłem nazwano. To zastósowanie naukowe sił przyrodzenia do coraz bardziéj wzmagającéj się żądzy dobrego mienia, w postępie czasu zdziałało cuda. Para stała się ową najdzielniejszą silnią, a żelazne ramię machin wyręczyło słabą i kosztowną rękę ludzką. Lokomotywy swym grzmiącym turkotem wypłoszyły poezyą, ponieważ wszystkich oczy zwróciły się na te cuda olbrzymiéj materyalnéj siły, przemocą rozumu w ścisłe kluby ujętéj. — Tymczasem i w polityce wielki uczyniono postęp. Pękły kolczate ostrokoły, któremi się angielski protestantyzm obsaczył, a katolicyzm wywalczył sobie wolność. Prawa feudalne zaczepione orężem filozoficznym Benthama, cios śmiertelny odniosły: w parlamencie Torysowie i Wigowie zmienili swoje miejsca; obrońcy absolutnych prerogatyw umilkli, kontenci, że mogli zająć stanowisko przez Wigow opuszczone, obstając za staremi teoryami, podczas, gdy Wigowie popierali zasady umiarkowanéj reformy, a radykaliści gwałtem je i nagle przyspieszyć usiłowali. Obieralność zmieniona i w gminach władza ludu większego nabrała znaczenia. Umysły tak silnemi podniecane pobudkami, walcząc za sprawę tylu różnorodnych interessów, nie mogły ubitym przez zeszłe pokolenie, postępować torem.

Do szczątków wzmiankowanéj szkoły należy, jak się powiedziało wyżéj, Southey, odległych sięgający czasów, patryarcha konserwatywów i panegirysta anglikańskiego kościoła, głęboki, ognisty, w wieku nawet podeszłym pierwszym młodości gorejący zapałem. Początkowo pisał w formie dytyrambów przydłuższe powieści, blaskiem wschodu bijące. Później, gdy mu znikła z oczu młodzieńcza ułuda, poświęcił resztę swego życia, jak to często bywa, na zburzenie tego, za czem w młodości tak gorliwie obstawał. Szczerym był zawsze, tak w swojem pierwszem uniesieniu, jako i w swéj późniejszéj palinodyi. Southey dowiódł w swéj Historyi Marynarki angielskiéj i w książce kościelnéj, że gruntowność historycznego badacza, da się połączyć z wdziękiem wykładu i mocą wyrazu. W ostatnim jego dziele: „w Rozmowach o przyszłości“ unosi go znowu pierwszy zapał wymowy, ale wygasła wiara w zdolność odrodzenia się rodzaju ludzkiego.

Obok tego filozofa, należącego z urodzenia do ludu, a z zasad do arystokracyi, stoi Moore, śpiewak miłości i powiewnych fantastycznych kształtów, ironiczny i zacięty, co poróżniwszy się raz z księciem regentem, już się nigdy z władzą pojednać nie chciał. Poezya Moora jest znana, owa poezya kolibrowa, migocącem połyskująca pierzem, czarująca, siejąca brylanty, smaragdy i szafiry, a która nie przestając na tylu bogactwach, jeszcze w erudycyi nowych poszukuje skarbów. Podobnie jak Southey ma on wrodzone uczucie rytmu, świetność obrazów i tajemnicę harmonii; jednem słowem jest poetą, ożywionym prócz tego prawdziwie lirycznym zapałem; ale proza jego jest za kunsztowną, zbytnie za effektem ubiegającą się.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

I.

Zasiadł Mistrz wielki w czworogrannéj sali,
A górą lampy, spodem głowy, głowy
Męzkie, dziecinne, jak fala przy fali,
Gdzieniegdzie błyśnie czepiec białogłowy,
Jak piana morska, gdy woda w brzeg wali.
Wszystko się zapomniało na głos mistrza mowy,
Wszyscy poklękli uchem, rozpuścili myśli,
I głodni słów proroczych, do nóg z czuciem przyśli.
A ten tłum miał chęć jednę: młódź, starce, kobiety,
Grzmieli głosem narodu: »*poety*, *poety*!«

Mistrz.

Ja nim będę? lub taki, lub taki być może,
Co się na starożytnych wykołysał wzorze,
Dziesięć wieków kowało prawidła poecie,
I ukowało ołtarz na Olimpu grzbiecie:
Stroma tam ścieżka wiedzie, kędy laur zakwita,
A na niéj dziewięć Gracyi z uśmiechem cię wita,
Siwy tam starzec w poprzek idącemu stanie,
To stróż Olimpu, bada o Muzy nazwanie,
Któréj poślubowałeś swą myśl i zamiary,
I twemu dziełu swoje przykłada rozmiary;

Biada! młodzieńcze, jeśli troistość złamana
Czynu, miejsca i czasu, myśl twa rozbujana
Bez rozmiaru na podróż wybrała się długą,
Arystotel cię swoją odtrąci maczugą.

A w okół szepce młodzież pieśń nowéj osnowy,
Co wyszła z serca, rzewna, bez końca, bez głowy,
Dziką pieśń Dziadów —
Mistrz posłyszał, i smaga żartem, plwaniem, śmiechem,
A młódź lgnęła daleko za Litewskiém echem.
W tém oto wieszcz litewski nowe zawdział szaty:
Lirę Petrarka, zemstę Hiszpana, dwa kwiaty
Życia uszczknął, nie swego — i niemi frymarczył
Póty, póki dech szkoły włoskim piersiom starczył.
Brakło, porwał Anglika w gardziel: Anglik jary
Miał splen, wieszcz splenu dostał, i krzyczy na czary,
Językiem, jak maczugą tnie w czucia, tnie w czyny,
I rośnie Olbrzym w ogniu; innych myśli z gliny
Ciągnie w splen, i chorują w pałacach, w salonie,
Splen modny, trup z nim zasiadł w głowie, jak na tronie.

A zdala, o dwa łokcie wyżéj od ich głowy,
Gdzie siedział trup koronny i wieszcz salonowy,
Wisiały antenaty stare na obrazach:
Wąsy im widać, i coś twardego w wyrazach,
W szabli; wieszcz na nich wskazał i krzyczy: »Ci starzy
Płakali, czuli, jak my; to im widno z twarzy,
Co nam; jedne im czucia grały w piersi dzikiéj,
I ten sam język czucia, żal, poklask, lub krzyki.«
— »Lub nie ten!« — Ktoś się z boku wychylił z tym głosem,
Głos jego był donośny, w salon rzucił skosem
Oko i słowo swoje, obie błyskawicze,
I wszyscy padli wzrokiem na jego oblicze:
Damy gwarzą do siebie; znały go w uściskach;
I młódź orężna gwarzy; poznała go w błyskach
Dział, nawet w jednym śpiewie skradzionym polową
Między chwilą kobiecą, a ucztą wojskową.
Wieszcz się mieni, znał tę pieśń, znał i głos śpiewaczy,
I czuł, jak go ten piewca okiem w duszę haczy,
I zbiera nań u młodych serc, jak sędzia kreski,
I zagrzmiał głos okolny: »Ej cicho Malczeski!«

II.

Był to dzień czwarty Maja, rok dwudziesty szósty:
W pola! majowe słońce, daléj, hej! kto żyje,
I każdy w ogród spieszył; wówczas obok, pusty
Karawan po ulicy rozwlókł się, i w szyję
Miasta jedzie, i prostą trunę, bez przyjaciół,
Wziął na barki posługacz, drugi konie zaciął;
To był jedyny odgłos na wielkim pogrzebie.

* * *

Spojrzałem w inną stronę: tu w grono sędziwi
Zaszli męże, a w okół, przy wielkim stoliku
Dzieł rzymskich, greckich, gockich, jak śmiecia bez liku;
A starzy, jak okładki z pargaminu, bledzi,
Rozprawiają i krzyczą; zda się, każdy śledzi,
Wyradza, wydobywa; coś myślą, coś czują,
Mniemałem — spojrzę bliżéj, oni przepisują
Jeden drugiego, chyżo, i tak wielki zaród
Słów zrobili, dla czego? by odgadnąć naród
W kolebce, jego czyny, nazwę i siedziby,
I chcąc przebiedź, przelecieć, okuli się w dyby,
Sztuczni szybkobiegacze krajów, za stolikiem!
A jeden z nich rej wodził, głosem, miną, krzykiem,
Wszystkich oczy mówiły: »To mądry, jak rzadko!
Dobrze krzyczy, dowodzi i cytuje gładko.«
Sunę ku niemu, okiem na foljały mruga,
I chociaż mina wielka, poznałem — papuga.

Rozwarły się drzwi sali, wszedł jakiś podróżny,
Kij miał w ręku, twarz młodą, widać życiu dłużny,
A tłomoczek na plecach, opylony piaskiem
Ziemi rodzinnéj, jasnym oznaczał go blaskiem.
»Ja idę ztamtąd! woła, widziałem, jak całą
Ojce nam zostawiły ziemię, w niéj zostało
Więcéj pamiątek, śladów, dawniejsza — to księga
Jak waszych greckich mistrzów, ona kości sięga
Sławian, ona ich szaty niezwlokła, niezdarła,
To nie Saturn, ona swych dzieci niepożarła!
Bądźcie dla niéj Mojżeszem, z laską przez pustynie,
Nie ze śklem przy stoliku; to nie gwiazdy szukać,
Nie krzcić wam, wy nie mnichy; nie pieluchy płukać,
Wy nie dziewki; a język, język nie naczynie!...

A pomiędzy starcami to się śmiech wywinie,
To znowu złość wschodziła węglem po ich twarzy,
I każdy na wędrowca szczuje i potwarzy,
Rozżarła się papuga, a zbierając głoski
Nie lubego imienia »precz, precz, Chodakowski!«
Krzyknęła, za nią cały rój greckiéj mitręgi.

. . . .

I znów lat kilkanaście przewracają księgi!

* * *

Dziwny śpiewak! powiecie, dziwny trup papuga,
I ów świat, co się śmieje, to z głowy poety
Wymarzony, ponczowy świat. Chciałbym niestety!
Jużbym się nigdy ponczu niedotknął ustami,
By tak przykre przebywać sny, już odtąd z wami
Zgodziłbym puls gorączki, lecz z trupem nie zgodzę.

Wasza poezja trupem, ja z pieluch pochodzę,
A czuję, że ona mi kroku nie dotrzyma,
Ona szaleje, piersi, duszę, głowę wzdyma,
Kona, i w swych konwulsjach okropna i szczytna,
Łzy nam wykrada, ale serca nie!.. Zorza błękitna
W włoskim kraju sprowadzi piewcę i gitarę;
Lacha sprowadzi tylko szabla, śpiewa wiarę
W siły swoje; gitarą koń mu, co go nosi,
Tak szczerze bije w wroga, jak w pierś, z któréj prosi;
Nie z wodnéj barkaroli śpiew mu się wywinął,
Miecz za wiosło ma w ręku, na łbach Turków płynął!..

Wam historja papugą! przeszłość, to na lata
Liczycie, nie na myśli; ludy, co zalały
Pierwsze wasze siedziby, bierzecie za wały
Morskie, mniejsza, z jakiego wypłynęły świata,
Mniejsza, co za muł osiadł na rodzinnéj ziemi,
Z ich obrządków, z ich wiary; dopiero z krzconemi
Chcecie wyjeżdżać syny, kiedy oni serce
Mieli z wieków niekrzconych. Kroniki oszczerce!

W nich zakonnik z dziecinnych pieluch ludów szydzi,
Nie wie, że człowiek, jako za młodu zawidzi,
Takie mu i na starość goreją widziadła,
Że, co w ducha wpłynęło, liczba lat nie zjadła.

Młodzi, nam podnieść piersią pieweów sławnych,
Młodzi, nam podnieść wiarą bogów dawnych,
Gdzie śpi jeszcze w kamieniach, runach, gędźb ukryta,
Nam wydobyć, nam wrócić do Sławian koryta.

D. M.

Karczmy i drogi w Polesiu.

Nulla dies abeat quin linea ducta supersit.

Powiadają, że dwie są drogi w życiu, jedna gładka i wesoła do piekła, druga ciężka i ciasna do nieba. Jeśli tak, biorąc ściśle, poleskie drogi wprost do królestwa niebieskiego prowadzić muszą, i to pewna, że tam już nie jednego zaprowadzić musiały. Wystawcie sobie naprzykład dróżynę wyjeżdżoną wozami chłopskiemi kręto, po korzeniach, wśród pni i gałęzi, lasem. Trudno się nią wykręcić, gdzieniegdzie woda powybijała doły dla tem pewniejszego wywrotu, tam i sam strumyk błędny sącząc, wieczną grzęzawicę robi. Nareście przez błoto trzeba grobli. Ale gdzież zaś obojętny Poleszuk tyle może mieć czasu, żeby groble sypał? Cóż więc? Oto, natnie drzewa i pokładzie na drodze, żeby koła nie tonęły w błocie. Wygodna droga po takich nakołach. Jeśli przez osobliwsze miłosierdzie nad podróżnymi nasypie na wierzch chróstu, ten się rozpełznie, wbije w ziemię, a nakoły zostaną, jak były. Często ogromne przestrzenie błót, po takiéj drodze przebywać trzeba. Ale otóż i mostek — godzien drogi — wązki naprzód, dziurawy powtóre, trzęsący się na podgniłych palach po trzecie i ostatnie. Gdyby zaś pod nim była przepaść na sto sążni, a długość jego była, Bóg wie jaka, nie znajdziesz nigdy poręczy, jest to *luxus*, którego sobie Poleszuk nigdy nie pozwala. Ciągle więc zdawszy się na Opatrzność i furmana, musisz jechać pod strachem.

Nad drogi poleskie nie znam nic straszniejszego, chyba poleskie karczmy. Ach! wszystkie pięć zmysłów i drugie pięć, gdyby je miał człowiek, cierpią męczarnię najwyrafinowańszą w tych jaskiniach swędu i niechlujstwa.

Już widzę, jak się podróżny z daleka cieszy, gdy mu powiedzą, że wkrótce będzie karczma. Wygląda on, niespokoi się i widzi nareście światło błyszczące z daleka przez okno pobite, pozaklejane, pozatykane. Stoj! — dach się chyli, komin wali, wjazd zawalony błotem, stajnia bydłem, wozami i saniami. W izbie dymią okropnie fajki poleskie, słychać gwar głuchy pijackiéj rozmowy. Pytasz o izbę osobną — żydzi ci się w oczy śmieją.

Rad nie rad, ciemno, późno, słota, wchodzisz do jedynéj. Ach! pod nogami twemi plączą się bachury, gęsi, kury, błoto, — głowa twoja zawadza o lichtarz siedmioramienny, wiszący z pułapu i kapiący łojem, — w nos twój zapach gorzałki, dymu, fajek, swędu właściwego żydom; kwasu, czadu, łoju, dziegciu, błota wpada i uderza, — o uszy twoje gwar pomięszany beku dzieci, krzyku kur, kwoczek, gęsi, żydówek, brzęku kwart i pieśni chłopskich się obija. Na dobitkę w jednym kącie żydzi rzną kozę wśród izby, w drugim szpektor uczy dziecko ponuro powtarzając — *gecher!* Uciekasz do alkierza. W alkierzu na betach i piernatach żydzi mieszczą bułki i łokszyn, wisi kołyska, stoi stół kulawy, włóczy się kotka z kociętami, skaczą kozy po ławach, trzepiocze się kura, uwiązana za nogę do stółka, zawala drogę worek z owsem, w kącie śmierdzi rzepa i brukiew, a w drugim leży kupa kartofli. Ani sposobu! gdzież ja będę nocował? myśli biedny podróżny.

Żyd, jako bardzo przebiegły polityk, wybiega naprzód do stajni, zobaczyć, czém podróżny przyjechał. Od tego zależy przyjęcie. Jeśli parą koni, nie krytym wózkiem, a żyd ma kilkaset rubli, traktuje podróżnego *de puissance en puissance, en égal* — kładzie ręce w kieszenie, pluje, zapala fajkę (tu wszyscy żydzi fajkę palą) i chodzi w czapce. Jeśli konie zaprzężone w szwarc, z trochę większą dystynkcyą; jeśli jedziesz ze dzwonkiem, najwyższy respekt, jeśli masz kocz i brykę, wypędza chłopów i oczyszcza ci pierwszą izbę, daje ci świecę chorą, leżącą na bok w lichtarzu, gospodyni zmiata stoły i ławy fartuchem, podłogę posypuje piaskiem. Ale któż cię wybawi od muzeum historyi naturalnéj, wijącego się po ścianach, jakby naumyślnie dla obserwacyi: od smrodów, któremi już ściany przesiękły, od krzyku po nad piecem z sąsiedniéj izby przelatującego bachurów, kotów, żydów i t. d.

Nic obrzydliwszego nad karczmę poleską, nic podobniejszego do czysca nad nocleg w niéj, nic przytém nudniejszego nad żydów, jéj mieszkańców, którzy pijawczanym sposobem siedząc w każdéj wsi, ssą chłopów, odzierają podróżnych i wypłacając się rozmaicie panom swoim, często dziedzicznie po lat 200 w jednéj familii, jednę karczmę sobie podają. Nic szkodliwszego przy tem dla gospodarstwa nad nich. Oni w bliższych z wieśniakiem stósunkach zostając, wiedzą o wszystkiem, co on ma, każda sztuka bydła zapisana w ich pamięci. Co tylko można za pół ceny wziąść w długu, to wezmą — zboże, bydło, aż do najdrobniejszych rzeczy, aż do ruchomości gospodarskich, które opilcy odnoszą wreście

gospodarzowi. Zważmy i chciejmy się przekonać o szkodach niezliczonych z zajęcia karczem przez żydów; chciejmy nareście rzucić oczyma na swoje położenie i zrzucić to jarzmo ohydne. Co za osobliwszy wdzięk mają żydzi, co za czary, że przy tylu niedogodnościach, tylu oczywistych krzywdach siedzą wszędzie tak spokojnie?

Gdzieniegdzie w Polesiu ku Wołyniowi świeżo utworzyły się osady żydów, niby rolnicze. Powodowało ich do tego uwolnienie od zaciągu do służby wojskowéj, na któréj wspomnienie się wzdrygają, kupili oni ziemi kawał od pana B.... wśród zniszczonych lasów, lecz cóż? Pobudowali domki w głuchym lesie, a zamiast rolę uprawiać, trudnią się i tu rzemiosłami, szachrajstwem, najmują okolicznych chłopów do pracy około roli, nawet dość drogo, a sami są, jak byli. Najwięcéj tu rzemieślników, chociaż pozornie wszyscy się liczą za rolników; z czasem, kto wie, czy do tego nie przyjdzie. Osobliwsza ta osada zowie się Nową Jeruzalem i wystawia rzadkiéj dziwaczności obraz jedyny w swoim rodzaju.

Wśród lasu i błota, po grobli tak okropnéj, tak niegodziwéj, jak gdyby prowadziła do siódmego nieba, wjeżdża się na ulicę, po obu stronach domami otoczoną. Tu chatki walące się i nędzne, o jednéj izbie, o jedném oknie, tam domy porządne skończone, tam jeszcze pozaczynane, a to wszystko ożywione samą tylko populacyą żydowską, wszelkiego rodzaju stroju i wieku. Brudu i niechlujstwa królestwo. Nie wolno im tu szynku trzymać, co jednakże do szynkowania nic nie zawadza. Łąki swoje najmują chętnie, najęliby i pola, gdyby kto chciał je wziąść. Tam, gdzie niegdyś był folwark właściciela i kaplica, zrobili sobie centralny dom i szkołę w kaplicy! Niewiem jeszcze jakim cudem, krzyże się po drogach na ich terrytoryum utrzymały. Cóż to za nędzę widzieć tam można, jaką obojętność na wszystko, co się zowie czystością, powierzchownością, ochędóstwem. W mieście żyd czyści się dla oka podróżnych, tu, że ich niema, bo Nowa Jeruzalem wśród lasu, bez traktu, rzadko widzi gości, błoci się w najlepsze. Porządek w stawianiu domów jest taki, jako w czem innéni. Gdzie się komu podobało, tam siadł, niektórzy porobili sobie domy z szop i chlewów. Jaka jest przyszłość téj osady, nieśmiemy zgadywać, lecz, że dziś nie myślą oni wcale o roli, za to zaręczyć możemy. Wszyscy przecie są rzemieślnicy i przekupnie. . . .

Omelno w Kwietniu 1839. *J. J. Kraszewski.*

Ogrody i poeci.

Powieść.

(Dokończenie.)

„Prosić pana szambelana, i powiedzieć mu, że od godziny wszyscy oczekujemy go z niecierpliwością;“ — taki rozkaz dawał pan hrabia w najgorszym humorze marszałkowi swojego dworu. „Szczególni to ludzie, ci panowie poeci! wiecznie każą na siebie czekać, wiecznie ze swemi płodami drożą się.“ — „Jakby łaską pańską nie byli zapłaceni z góry!“ poszepnął jeden z zauszników hrabiego. „Czas poobiedni najlepszy do słuchania wierszy: ciało zajęte trawieniem, umysł do drzymania skłonny, łatwo w krainę marzeń się przeniesie. Trembecki utraci wiele na zwłoce!“ — I rozmowa w gronie coraz stawała się ociężalszą, urywaną; oczekiwanie przechodziło w nudy, — gospodarz w głowę zachodził; ale dowcip Zofii i tą razą przybiegł mu z pomocą. — „Wiadomo państwu,“ rzeknie ona, „że pan Trembecki opisał wierszem Zofijówkę, niebo tak jest pogodne, powietrze tak przyjemne, że grzechem byłoby nie słuchać opisu ogrodu, w ogrodzie.“ — „Jedno w drugim daleko lepiéj się wyda;“ przyprawdzi ktoś z gości. — „A przytem i umysł się trzeźwi;“ dodał inny. — „A więc służę, moi panowie i panie, szambelana prosić do ogrodu.“ — I para po parze, poważnie, spaniale, przez wielkie drzwi szklanne wysuwała się do parku. Dwie spływające rzeki, tworzą tam u podnoża pagórka, na którym pyszny pałac się wznosi, szybę jeziora, gubiącą się w gajach topolowych, i ocienioną bukietami dwóch czarujących wysep; stado łabędzi żegluje po tych cichych wodach, jak myśli dziewicze marzące o niebie; dodaj do tego kręte ścieżki, bielejące piaskiem po tle ciemnych trawników, lekkie mostki, rzucane na rzece — ławeczki pod drzew cieniem, i odleglejszy widok na staw drugi, z ciągnącemi się na brzegach domami przedmieść tulczyńskich — a masz całą powabną prostotę tego ogrodu, tak dobrze nazwanego Choroszem. I całe grono zasiadło już w półokrąg ustawione kanapki pod cieniem gałęzistych lip i klonów, i przy źródle wypływającem z kamiennego posągu. — I całe grono chowa poważne milczenie, nie widzieć słuchaczów, czy sędziów — bo nie jeden już naprzód w duchu układa zdania, wytyka błędy — sypie pochwały, poprawia. — Stańże wieszczu, czytaj — czytaj, co się żadnemu nie śniło, o czemby i na dziesiątéj gwiaździe niewiedział — a on ci w końcu na jotę wyroku niezmieni.

„Oto i nasz Trembecki! witaj! witaj!“ i wszyscy powitali poetę. — Powierzchowność jego wydaje, jak zawsze, człowieka wielkiego świata. Żaboty z koronek, mankietki, starannie wypudrowana fryzura, trzewiki,

pończochy, — wszystko mówi, że mimo lat sędziwych ani na włos nie spuścił z wersalskiéj etykiety; — taż sama żywość charakteru, taż bystrość dowcipu, przytomność w odpowiedziach, taż chęć podobania się wiecznie płci pięknéj, czynią go zawsze do siebie podobnym. — „Brawo! brawo! widzę, że nie z gołemi przychodzisz rękoma!“ powitał go pan hrabia, wskazując na zwitek, który poeta trzymał. — „Ach, *que de delices!* słyszeć pierwszéj to, co niedrukowane nigdzie!“ zawołała w uniesieniu jedna z dam literatek. — „Świeże wiersze — *passez moi cette expression* — mają dla mnie smak kurzącéj się jeszcze potrawy.“ — „O zapewne, bo też nic nudniejszego nie znam, jak wiersze powtarzane od wszystkich.“ — „*Des platitudes — des bisarreries* — najprędzéj przechodzą do gminu.“ — „*Tant mieux*, dla tego też nigdy gmin góry nie weźmie.“ — „*Messieurs et dames!* słuchajmy! słuchajmy!“ — Trembecki, siedzący pośród grona, zaczął czytać:

„Miła oku a licznym ożywiona płodem . . . . .“

Głos jego czysty, donośny, wygłaszał treściwym wierszem, tchnącym Zygmuntowską mową, opis bujnéj Ukrainy, dzieje téj ziemi, przemiany jéj panów, a kiedy przyszedł do miejsca:

„A jak w Dodońskim drzewo Jowiszowe lesie,
Tak Potocki nad innych wyższość w sobie niesie.
Wspominać przodków miałbym zbyt osnowę długą,
Któż się z tym domem zrównać ośmieli zasługą?...“

pan hrabia zrywa się z miejsca — obejmuje go w ramiona — lica starców zlewają się łzami rozczulenia. — Słuchacze w zachwyceniu — uroczysta cisza, nawet w całéj przyrodzie. Lecz jakiż to dźwięk dolatuje z głębi ogrodu? . . .

„Oj ty pane Potocki, wojewodzki synu . . . .“

Nuta ukraińska — wyrazy ukraińskie. — Pieśń jakaś karczemna, gminna. Goście słyszeli każde słowo, goście pojrzeli po sobie, znaczącem spojrzeniem, pół uśmiechliwem, pół wzgardliwem. — Pan hrabia pobladł — zadrgały mu wargi. „Héj, służba! ktoś nam tu śmie przeszkadzać? pewnie chłop jaki pijany.“ — Ale służby nie było pod ręką, i śpiewu już nie słychać, — i pan Trembecki znowu wygłaszał swoje wiersze, — znowu obrazy Zofijówki: jéj gaje, jéj wody, skały, groty, wyspy, jéj wszystkie cuda; obrazy dzierżgane pochwałami dla ich pana i pięknéj pani. Poeta w taki czarodziejski kraj porwał słuchaczy, że zapomnieli o piosence owéj, o parodii. Pan hrabia nawet upił się dymem kadzideł, i z serca wygładził każde przykre uczucie. A w końcu, kiedy wieszcz duma nad mogiłą jego:

„Ta bolesnem wspomnieniem rażąca mogiła,
Czyjeś niepospolite zwłoki będzie kryła.
Niechaj ta za dni naszych nienadchodzi pora,
By miała zniknąć ziomków w nieszczęściu podpora.
Niespiesz się budowniczy, słuchaj ludów głosu,
Nie kładź rychło pierwszego pod mogiłę ciosu:
Aż kiedy dwa od dzisiaj miną pokolenia,
Dopiero . . . . nie kładź jeszcze i wtedy kamienia.“

poklasnęło całe grono — Zofija z uśmiechem — pan hrabia z tysiącznemi oświadczeniami uściskali poetę. „Bosko! cudownie! co za słodycz wiersza, co za szczytne myśli!“ — I znowu nastała chwila milczenia, która miała poprzedzić dalsze czytanie poematu. Znowu w téj krótkiéj przerwie, tuż, blizko, w gęstwinie, czysty, dźwięczny żałosny śpiew się odezwał:

„Pryjde toj czas pryjde, i taja hodyna
Zhynesz, zhynesz . . . .“

Trembecki chciał go zagłuszyć rymami, przyjaciele hrabiego kaszlem i kichaniem — lecz cisza, jak na złość panowała grobowa — goście pomięszani, pobledli, porumienieni — poeta zadrżał i rękopis opuścił.

Obłąkanie, zgryzota sumnienia, wściekłość gniewu wystąpiły na twarz hrabiego. Goście zerwali się z miejsc swoich. Zofija zemdlała. Pan hrabia chustką zakrył twarz i spiesznie wracał do pałacu. „Lekarza! lekarza!“ wołano. — „Przetrząść ogród!“ wołano z drugiéj strony. — „Czy jaki zbójca ukryty?“ — „Ktoś świstał piosneczkę, która hrabiemu nerwy zdrażniła.“ — „I nic więcéj?“ — „Czyż to nie dosyć?“ — Służba rzuciła się hurmem na krzaki, na klomby, i znaleziono małego ogrodniczka, który okopywał drzewa. „Tyżeś to śpiewał!“ krzyknięto groźnie. — „Jam sobie śpiewał, bo mi kuczyła się praca,“ odrzekł obojętnie. — „Kto cię tego nauczył? od kogoś słyszał?“ — „Od ludzi!“ — „Co za katastrofa!“ szeptali goście między sobą. — „Zapewne ktoś z partyi nieprzyjaznéj hrabiemu . . . . .“ — „Co więcéj? nieprzyjaznéj sławie narodu!“ zawołał jeden z przyjaciół, załamując ręce. — „Biada nam! wracają czasy Gonty, jeżeli już taki robak śmie przeciw panu i myślą powstawać! . . . . . i ze wzgardą mierzono nieszczęśliwego chłopca, który drżał, nie wiedząc dla czego.“ — „Co myślisz o tém, szambelanie?“ rzekł ktoś, przystępując do zamyślonego i zmienionego starca. — „*Vox populi* . . . . .“ odpowiedział oziębłe.

Odtąd szambelan rzadko pokazywał się na salonie, — po całych dniach przesiadywał w swoim pokoju w jednem skrzydle pałacu, — po całych dniach nieubierał się; — wszystkich unikał, tylko czasami grywał z chłopcem swoim w szachy — a towarzystwo najmilsze znachodził, w licznéj rodzinie wróbli, które karmił i wychowywał. — Ten ostatni rys w życiu poety cha-

rakteryzuje go, wierzył on bowiem w przechodzenie dusz, i zawczasu sobie przyjaciół między wróblami ujmował. Na schyłku dni swoich do tego stopnia pamięć utracił, że nie poznawał swoich własnych wierszy, powodem do tego, jak utrzymują niektórzy, miała być owa pieśń gminna słyszana w ogrodzie. *L. S.*

O osobach przy boku królewskim.

Z rękopismu do panowania Augusta III. i Stanisława Poniatowskiego.

Autor opisawszy w końcu pierwszego tomu dzieła swego potyczkę pod Kąpielem, tak dalej rzecz prowadzi:

Lubo ta potyczka zbyt jest drobna: że jednak garsztka Polaków obroniła się nierównie większéj sile ćwiczonego wojska nieprzyjaciół, nie jest bez pochwały sprawiedliwéj, i pokazuje, że Polacy mają serce. Gdyby mieli wodza, pewnieby nie byli ulegli sąsiadom. Ale któż o tém myślił? Nikt. Do piór udali się wszyscy, pisali książki o sposobach ratowania ojczyzny i ulepszenia jéj losu. Jedni drugich zbijali wywodami, a żaden się do istotnéj obrony ginącéj ojczyzny nie posiągnął. Systematyków, statystów, polityków, sobie i innym zawracających głowy aż nadto, działających nic. Senatorowie, Ministrowie, Generałowie, ludzie młodzi, pieszczono wychowani, bez doświadczenia, za panowania Poniatowskiego do rządów Państwa i wojska przybrani, dla szczupłych fortun swoich zysku prywatnego nie publicznego dobra upatrujący, i ci tylko byli, którzy majestat Królewski otaczali. Ci zaś, którzy byli wielkich fortun, zapatrując się, że Król tylko się powierzał swoim faworytom, ludziom małym, Włochom, Niemcom i innym cudzoziemcom lub nacyonalistom z gminu do stanu ślacheckiego wyniesionym: siedzieli po dobrach swoich, albo się włóczyli po cudzych krajach, nie chcąc w gabinecie królewskim przez naturalną dumę iść w rząd z takimi ludźmi, którzy za przeszłego panowania Saskiego ledwo do sali królewskiéj pierwszy przystęp mieli. Komarzewski, człowiek nieznajomy jakiego urodzenia, Generałem-Adjutantem przy boku królewskim najpierwszy, w sekretnych interesach królewskich często biegał do Berlina i Petersburga. Tego nie mogąc cierpieć, ani też wyruguwać z łaski królewskiéj zbyt dumny Rzewuski, Marszałek nadworny koronny, za Ministra gabinetowego od Króla przybrany, ze cztery lata pobywszy przy Królu, podziękował i za ministerstwo i za marszałkowstwo, wyniósłszy się za granicę, gdzie też nie powracając więcéj do ojczyzny, umarł w Paryżu roku 1801. czyli 2go. Do téj nienawiści ku Komarzewskiemu nadarzyła się druga przyczyna uchylenia się od dworu. Ta zaś była, że go laska wielka koronna po Jerzym Mniszchu, Marszałku W. kor. wakująca minęła, a która jemu obiecana była. Trzeba wiedzieć, że prócz jednego Króla, który coś wielkiego w Rzewuskim upatrzył, wszyscy inni i mali i wielcy nie lubili go dla nieznośnéj pychy. Łatwiéj było dostać się do Króla, jak do Rzewuskiego, i można było więcéj pomówić z pierwszym jak z drugim. Gdy tedy zawakowała laska wielka, jako masz wyżéj, familia cała królewska opadła Króla, aby laskę wielką dał Lubomirskiemu Stanisławowi, mającemu za sobą siostrę cioteczną królewską Czartoryską, Wojewodziankę Ruską. Król nie mogąc się oprzeć familii, i nie chcąc narazić sobie Rzewuskiego, poszedł pierwéj do niego i zażył go takim sposobem: Będę Cię, rzekł, prosił o jednę rzecz, ale wprzód mnie upewnisz, że ją dla mnie uczynisz. Rzewuski nie spodziewając się nigdy takiéj sztuki po Królu, z łatwością odpowiedział Królowi: iż mu miło będzie uczynić zadosyć chęciom J. K. M. Dopiero Król: Ustąpże ten raz laski wielkiéj koronnéj Lubomirskiemu, o którą mię dla niego już drugi dzień familia morduje. Rzewuski, jakoby ognia na niego nasypał, odpowiedział Królowi z passyą: Nie tylko laski, ale wszystkich względów W. K. M. ustępuję i jemu i każdemu. Po czém wprędce wyniósł się z zamku królewskiego, w którym jako Minister mieszkał, a potém i z całego kraju.

Drugi konsyliarz tajny królewski Ryx, kamerdyner, do stanu szlacheckiego wyniesiony, i starostwem Piaseczyńskiém udarowany, od młodych lat, jeszcze gdy Król był Stolnikiem Litewskim, jemu służący, w interessach miłośnych dogodny królewski Minister. Trzeci takiéjż faryny człowiek, Bacciarelli, Włoch, malarz. Czwarty Kortycelli, ród swój z Kurlandyi wywodzący, indygenatem szlachectwa Polskiego zaszczycony, z młodu w regimencie gwardyi pieszéj koronnéj od kadeta prostego do rangi kapitańskiéj służący, z którego regimentu wyjść musiał z przyczyny, iż nabywszy choroby modnéj dręczącéj go przez lat kilka, przesadzony merkuryuszem, z prostego i dorodnego mężczyzny stał się mocno garbatym. Tego garbusa, w szulerniach i miłośnych intrygach sprawnego, przyjął Król do swojéj konfidencyi: umiał bowiem przedziwnie rozmawiać o prawach natury podług Woltera, Rusa, Helwecyusza i Spinozy, których filozofów maxymy rządziły skrycie Poniatowskim, na pozór katolika udającym. Ryx, jako kamerdyner, zawsze był przy Królu. Komarzewskiego, Bacciarellego i Kortycellego, często Król wysyłał do cudzych krajów w swoich interessach. Dwaj pierwsi powracali z plotkami, jakich mogli gdzie nazbierać; ostatni zaś zawsze Królowi Jmci oprócz tandetnych nowin przywoził jaką dziewicę. Rzecz ledwo do wierzenia podobna, którą jednak mam za pewną, jako od najpoufalszych z gabinetu królewskiego wyniesioną. W Wiedniu Kortycelli omamiwszy namowami zwodniczemi jednę panienkę, nie mając do tego gdzie indziéj sposobności, upatrzywszy porę, w kościele za ołtarzem przebrał po męzku i wywiózł do Warszawy. W roku 1788. użył Król tego swego faworyta za plenipotenta z wyroku Rady Nieustającéj do zaarendowania na skarb Rzeczypospolitéj soli Wielickiéj. Lecz ten Minister sprawniejszy w kopalniach miłośnych, niżeli solnych, zabawiając się po kaffenhauzach i szulerniach Wiedeńskich, nie dał należytego baczenia na kamerę ekonomiczną Cesarską, w któréj tę sól Polakom, jako niedawno ich własność przyobiecaną, Minister Pruski dla swego rządu przerabiał i za gnuśnością Kortycellego przerobił. Zkąd inąd zaś padło na Kortycellego porozumienie, iż się on dał przekupić pięcią tysięcy czerwonych złotych. To porozumienie na tém się wspiera, że Rada nieustająca Warszawska pisała do Kortycellego po dwa razy, aby dobijał targu: ponieważ ma wiadomość z Berlina, że rząd Pruski stara się sekretnie o arendę téjże soli. Kortycelli odpisał Radzie: iż to nie jest prawda, iż on ma dobre oko na ten interess, który z wolna nie nagle traktując, dobije z lepszym pożytkiem dla Rzeczypospolitéj. Gdy się dowiedziała Rada nieustająca o kontrakcie zawartym z rządem Pruskim, wielce była urażona na Króla, że takiego łotra podsunął do interesu tak wielkiéj wagi dla całego kraju. Król sam udawał dużo urażonego. Posłano od Rady Kortycellemu rozkaz, aby natychmiast stawał przed nią do dania sprawy z takowéj czynności. Lecz Kortycelli długo nie stanął, choć był naglony rozkazami. Stanął nakoniec po zniesieniu Rady, i pokazawszy list jeden królewski, zbył się wszystkiéj surowości. Domyślać się należy, że Król Polski, zawsze grzeczny dla ościennych monarchów, ujęty od rządu Pruskiego, kazał Kortycellemu tak rzeczy robić, aby się sól dostała rządowi Pruskiemu. Sejmowi zatém Marszałkowie nie wiedząc, jakby z Królem postąpić o taką winę, woleli rzecz zatrzeć milczeniem, niż daremnym rozcierać ją hałasem, który nic przyniósłby żadnéj za poniesioną szkodę nadgrody. A do tego nie wypadało temu sąsiadowi żałować soli, który już wtenczas wyciągał rękę do allliansu z Polakami wkrótce przybitego.

Piąty faworyt królewski Arnold Byszewski wcale innego od pierwszych gatunku człowiek bez żadnego światła publicznego, pisać nawet więcéj nad swoje imię nie umiejący, dla tego też nie mieszający się do spraw publicznych, pilnował swoich koni, któremi handlował, przedając je Panom i samemu Królowi jak najdrożéj. To była cała jego doskonałość. Dostał się do Króla takim sposobem. Służąc pokojowcem Cywińskiemu Podczaszemu Poznańskiemu, panu na młodzież ostremu, gdy raz polując zamiast sarny zabił ogara, i spodziewając się za ten trafunek pewnych stu batogów, więcéj do Cywińskiego nie powrócił, ale się udał do przyjaciół jego, starając się o przeprosiny. Lecz Cywiński żadną miarą nie chciał go inaczéj przyjąć, tylko po wyliczeniu mu wprzód stu batogów za najkochańszego psa zabitego. Na naleganie na ostatku przyjaciół Cywiński przewiódł tyle na sobie: że go zarekommendował za koniuszego Panu na ten czas Stanisławowi Poniatowskiemu, Stolnikowi Litewskiemu, potém Królowi Polskiemu. Dał mu Cywiński parę koni i parę sukien 'z siebie; to była cała fortuna natenczas Byszewskiego, nie dowierzając jednak sobie, aby go kijem nie zwalił za ogara, nie pozwolił mu ucałować nóg swoich; wszystko między nim i sobą stało się przez trzecie osoby. O fortuno, jak niedościgłe twoje drogi i przeznaczenia! Byszewski czerkiesik przystojny, składny do korda, uczy w kije Pana swego, jak ma w przygodzie robić szablą, ztąd łaska, ztąd podarunki, ztąd nakoniec przywiązanie wielkie, ztąd względy na jego instancye, a za instancyami sypiące się do szkatuły Byszewskiego tysiące, na ostatku pułkownikowstwo w lekkiéj kawaleryi i generalstwo aktualne w wojsku, nie bywszy żołnierzem ani godziny, aż i order S. Stanisława, aż i żona bogata z czterą kroć stu tysięcy Złt. pol. z domu Skórzewska, Podkomorzanka Poznańska. Po tym zaś wzroście śmierć we dwa roki po Królu, z zgryzoty nieszczęściem królewskim nabytych suchot. Umarł w Komorzu wsi pod Pyzdrami w Kaliskiém.

Druga partya tajnych konsyliarzów królewskich była: Kazimierz Poniatowski, brat najstarszy królewski, który całą fortunę swoję, urzędy podkomorstwa koronnego, generalstwa gwardyi konnéj koronnéj sprzedane przemarnowawszy na metressy, choć miał żonę, ale od wielu lat od uczesnictwa małżeńskiego odsadzoną, Ustrzycką z domu, tudzież na inne dziecinne zabawy: stawianie domków i osóbek karlich, na malowidła mężczyzn i niewiast nagich i tym podobnych fraszek i bezzeceństw, w których się zanurzył; straciwszy mówię fortunę, żył z skarbu królewskiego. Drugi konsyliarz pani Kasztellanowa Krakowska, Hetmanowa W. kor. po Klemensie Branickim, Hetmanie i Kasztelanie Krakowskim wdowa, siostra rodzona królewska, o któréj więcéj w poprzedzających kartach. Ta nie traktując interessów publicznych, mało wjéj rozum wpadających, a za to będąc dobrą gospodynią, najwięcéj pracowała około ujęcia próżnych wydatków brata Króla, mianowicie na metressy. Trzeci konsyliarz decydujący i prawie rozkazujący Michał Książę Prymas, najmłodszy brat królewski, u którego w pałacu wprzód się rozcierało wszystko, co miało być traktowane w radzie lub na sejmie, albo w senacie. Król tedy najpierwéj powierzał tajemnic owym czterym: Komarzewskiemu, Bacciarellemu, Ryxowi i Kortycellemu, a zasiągnąwszy zdania z osobna od każdego, toż dopiero naradzał się z drugą partyą konsyliarzów dopiero wspomnianą, i według zdania, które się mu najlepsze widziało, postępował. Dla tego inni wszyscy panowie, widząc się odsadzonymi od poufałości królewskiéj, stracili do niego serce, pozachodzili z nim w niechęci wielkie, które się nie mało do zguby ojczyzny przyłożyły. Pisarze peryodyczni, wielbiciele królewscy, głodni podchlebcy, przeklinają w pismach swoich tych wszystkich, którzy dla niechęci do Króla, dla ambicyi, dla interessu prywatnego, psują zbawienne myśli Jego Królewskiéj Mości około dobra publicznego. Lecz tego żaden nie napisał, że u Króla to tylko było zbawienném, co dla niego pomyślném i co go od ulubionéj spokojności i miękkiego życia nie odrywało. Cokolwiek zaś było przykre, mężnéj odwagi potrzebujące, to niebezpieczne i zgubą ojczyzny grożące.

Doniesienia literackie.

W Krakowie wyszedł tom dzieła: *Institutiones juris ecclesiastici in usum auditorum methodo scientifica adornat.* przez Felixa Słotwińskiego, prof. prawa rzyms. i kościeln. w uniw. Jagiell. Oprócz tego tomu, zawierającego *Jus ecclesiasticum publicum internum* ma jeszcze wyjść tomów trzy.

Pan Wysocki, sławny fortepianista z Warszawy, dał się słyszeć niedawno w Berlinie. Jego grà odznaczająca się bieglością i delikatnością, powszechnie się podobała. — Z jego kompozycyj wyszły w tych dniach u Breitkopfa dwa dzieła: 4 krakowiaki, (dzieło 1sze); 2 rapsodye, Nr. 1. mazurek, Nr. 2. krakowiak, (dzieło 2gie). — Żałować trzeba, iż pan Wysocki, będąc tak blizko Poznania, nie raczył tego miasta zwiedzić podczas jarmarku wełnianego, w czasie którego pewno licznie zwiedzaneby miał koncerta.

Poznań podczas transakcyi świętojańskich będzie bardzo ożywionym: wystawa obrazów, teatr polski, koncert dla nieszczęśliwych, gonitwy konne, wystawa bydła i t. d. nadadzą na chwilę ruch temu miastu bez duszy i życia. — Teatr polski z Krakowa pod dyrekcyą p. Anszyca (sam dyrektor, pan Pfeifer dla choroby swéj żony póżniéj dopiero przybędzie) da swą pierwszą reprezentacyą dnia 20. Czerwca. Towarzystwo jest bez porównania we wszystkich względach lepsze, niż przeszłoroczne; sądzić więc należy, iż jeżeli nie liczniéj, to pewno równie licznie, jak na przeszłoroczne przedstawy towarz. Raszewskiego zbierze się publiczność. — O koncercie bliższą wiadomość późniéj damy.

Z Lwowa. Jedno z najpiękniejszych przedsięwzięć, obudzających razem estetycznéj piękności uczucie i gorące drogich pomników ziemi ojczystéj zamiłowanie, jest wydawana przez p. Pillera we Lwowie:

»Galicya w Obrazach,«

któréj dotąd na rok 1839. wyszło 12 zeszytów, każdy po 4 obrazy, wraz z opisami wystawionych przedmiotów Ryciny zwłaszcza w ostatnich zeszytach są tak starannie i pięknie wykonane, że każdego miłośnika sztuk pięknych zadowolnić mogą. Lubo przedsięwzięcie to szczególniéj galicyjskich mieszkańców zajmować powinno, to wszelako i dla nas obojętném być nie może, w każdym bowiem zeszycie napotykamy znane nam dawno z dziejów sławy naszéj zwaliska, lub zasłużonych w historyi rodzin zamki, lub też ręką i gorliwością przodków wzniesione świątynie pańskie. Wspominamy tu o tém dla tego, aby dbałych o rzeczy krajowe zagrzać do czynnego udziału w tak pięknem dziele, i w naszéj dzielnicy do podobnych przedsięwzięć zachęcić. Wydawca oświadcza, że i w następującym roku obrazy te wychodzić będą. Jeden zeszyt kosztuje 4 Złote polskie, kolorowane 10 Złp.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*